Biblioteka
Główna
UMK Toruń
940722
Arch. Emigracji
119

Zbiór Sześciu
MONOLOGÓW

DLA MŁODZIEŃCÓW

ZESZYT I ZAWIERA

1 Zapiszę się, 2 Bez urzędu, 3 Nie ustąpię
4 Wyjątkowy Młodzieniec,
5 Zawodowy wierszokleta,
6 Strach prosi o kolację.

WYDAWNICTWO MUZYCZNE I KSIĘGARNIA
BOLESŁAW JÓZEF ZALEWSKI.
1505 Tell Place
CHICAGO, ILL., U. S. A.

584587 53.

Zbigniew Topór

Zbiór Sześciu
MONOLOGÓW
DLA MŁODZIEŃCÓW

ZESZYT I ZAWIERA

1 Zapiszę się, 2 Bez urzędu, 3 Nie ustąpię, 4 Wyjątkowy Młodzieniec, 5 Zawodowy wierszokleta, 6 Strach prosi o kolację.

ODBITKA Z "ECHA MUZYCZNEGO"
1505 Tell Place, Chicago, Ill.

ECHO MUZYCZNE, 1505 TELL PLACE
CHICAGO, ILL., U. S. A.

MONOLOG

Cechą charakterystyczną monologu, jest ton żartobliwy, wesoły, nierzadko zawadjacki, humor jednak ten nie powinien przekraczać ram przyzwoitości, ani trącić wyuzdaną hulaszczością, lub w żartach graniczyć z bezwstydem, niezdrowem szyderstwem, czy cynizmem.

Zadaniem humorystycznego monologu jest wzbudzić szczery śmiech w słuchaczach, ubawić ich w ten sposób, znużonym umysłom sprawić rozrywkę.

Moralizatorstwo natrętne i niezgrabne nigdy w takim monologu prawa obywatelstwa nie miało i nie ma. Sensu atoli moralnego, pouczającego delikatnie, a wesoło o pewnych przepisach towarzyskich, prawach i obowiązkach ludzkich a nawet i zasadach życiowych z monologu humorystycznego wykluczać nie można.

Przy wygłaszaniu monologu obowiązują te same prawidła co przy deklamacji, a więc: czysta i wyrazista wymowa, dostosowanie tonu i akcentu do treści utworu, barwna, nie jednostajna recytacja. Dochodzi tu jeszcze moment aktorski i sceniczny, a więc pierwiastek dramatyczny. Osoba, wygłaszająca monolog, ma większą niż deklamator swobodę w posługiwaniu się gestami i mimiką, naśladowaniu ruchów zewnętrznych, wyrazu twarzy i jego zmian u innych. Może i do siebie mówić i do publiczności i zachowywać się tak, jakby z drugimi, niebecnymi osobnikami rozmawiał i dawał im odpowiedzi. Jednem słowem — odgrywa swą rolę. Ma prawo zatem, o ile treść monologu pozwala na to albo tego żąda, chodzić, biegać po scenie, może wdziać na siebie kostjum, jakiego domaga się odnośna rola, a więc występować przed widzami niejako w "kłamanej," bo nie w swojej postaci.

W życiu naszych Stowarzyszeń Młodzieży używa się monologu jako środka urozmaicającego na zebraniach i wieczornicach.

Praktyczne wskazówki, którychby trzeba zwłaszcza młodzieży udzielić, dadzą się streścić w następujących punktach. Należy:

1. Wyuczyć się doskonale na pamięć swojego monologu. Najlepiej uczyć się głośno, wymawiając wyraźnie każdą zgłoskę, następnie stosownie do treśc iwiersza głos zniżać, mówić głośniej czy ciszej, prędzej czy wolniej; — 2. Wmyśleć się i wczuć w treść i nastrój wygłaszanego utworu; — 3. Postać, którą się przedstawia, oddać wiernie z jej charakterem; — 4. ze słuchaczami wzgl. widzami, — bo słuchacze monologu są i widzami równocześnie — utrzymywać kontakt, wychodząc z zasady, że dla nich w pierwszym rzędzie wygłasza się monolog; — 5. Nie przesadzać w karykaturowaniu postaci; — 6. Nie dodawać swoich, nie zawsze humorystycznych i dobrym nacechowanych tonek uwag, słów, wykrzykników, zdań, ruchów i t. p. scenicznych przyczynków i ozdób.

——o——

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU
K 157/07
AE
940722

ZAPISZĘ SIĘ.

(Scena przedstawia polankę w lesie — może być jaki kamień lub pień, wchodzi młody człowiek w kapeluszu z kijem i papierosem). — Ach! jak tu nudno — (ziewa) — niema co robić — (siada na kamieniu) — szkoda, że nie zostałem w domu — (ziewa, przeciąga się) — papieros mi zgasł — (szuka po kieszeniach) — ach! nie mam zapałek — (odrzuca papieros). — A! rzeczywiście pech!— (siedzi zamyślony). — W mieście toby człowiek poszedł teraz do knajpki... napiłby się piwa, zagrał w bilard, a tak? tu w lesie?... Chociaż i w restauracji teraz nudno, ani Stach, ani Wojtek, ani Kazio nie przychodzą... Dawniej ho! dawniej lepsze bywały czasy! A teraz? Spotkam — (wstaje) — Kazimierza — (udaje, że wita się z kimś). — Chodź na partyjkę!... powiadam — (naśladuje).— "Ja? człowieku! ależ nie mam czasu." — "Gdzie pędzisz?" — (naśladuje). — "Na zebranie, na zebranie" (goni niby kogoś). — Momencik! gdzie tam! już go poniosło!... — (chwila milczenia). — Spotykam Tomasza. "Tomek! stójno!"—wołam, witamy się — (udaje, że wita się z kimś)—wiesz? wymyśliłem nowy sposób zbijania kul — (pokazuje, jakby na bilardzie) — tu, tu, raz, dwa, trzy— (celuje) — krach! i jest! — (ogląda się) — oglądam się — (patrzy) — patrzę... tego zwiało... poszedł... wołam: Tomek! A on kiwa zdaleka — (kiwa ręką) — do widzenia! do widzenia!... Co się z nim stało? Może kto myśli, że zemdlał, za-

niemógł, został przyaresztowany, wpadł w rynsztok, złamał nogę, uciekł przed złodziejem, czy wyemigrował na Kamczatkę? nie — (z przekąsem) — on tylko poszedł na ze-bra-nie!... — (siada, odkłada kapelusz i kij — po chwili). — Skąd idziesz? "Ze zebrania!" Dokąd idziesz? "Na zebranie!" Kto ci mówił? "N. N. na zebraniu" i tak dalej i dalej i dalej, każdy, Wojtek, Janek, Tomek, Michał, Stach, Kazimierz... bez końca gadają: zebranie, stowarzyszenie, prezes, sekretarz, członkowie! a ja? — ja głupi słucham! Wreszcie, nareszcie przypomni się tam któremuś: — (naśladuje z przekąsem). — "Ach! ty nie należysz przecież do stowarzyszenia, nie prawda?" — (ze złością) — nie! nie należę! — (naśladuje) — "przepraszam, przepraszam, to ciebie nie zajmuje wcale" i... zostaję sam, bo oni wszyscy odeszli radzić nad sprawami stowarzyszenia. Zostaję ja... mój kij — (pokazuje) — i mój kapelusz! — ostatecznie przyczepi się do mnie, ten głupi Jędruś z rynku! przyjemna kompanja, rzeczywiście! — (po chwili) — Wszyscy, jakby uwzięli na mnie. Starsi obywatele mają związki zawodowe — nasze dostojne staruszki mają zgromadzenia dobroczynne — nasze panienki — (z ironją) — mają stowarzyszenia naukowe... he! he! he! takie gąski — (ze złością). — Dawniej wspomniałem o przyjacielu z Berlina, o kinematografie w Bydgoszczy... o jakimś romansie kryminalnym, wszystkie dziewczęta spoglądały na mnie z podziwem. Dziś? — (zrywa się wymachując rękoma). — Mickiewicz, Sienkiewicz, społeczeństwo, wykształcenie,

polskość, oświata... trajkoczą ciągle, a mnie prześmiewają, przedrwiwają!... — (z żalem). — Tak samo teraz! jest majówka Stowarzyszenia młodzieży. Ja nie zapisałem się dotąd na członka, więc unikają mnie prawie, jak zapowietrzonego — (chodzi po scenie). — Z początku było nas takich więcej, śmialiśmy się z tych, co zakładali Stowarzyszenie... A teraz? powoli wszyscy z naszego grona przystąpili do tamtych... zostałem tylko ja... mój kij, mój kapelusz, no i ten głupi Jędrek z rynku — (staje ze smutkiem) — ojojoj! jak to nieprzyjemnie — (ziewa, kilka razy) — ojojoj! jak to nudno... — (ze złością) — ja nie mam ospy, tyfusu, szkarlatyny, kataru, ani bzika... Tyle tylko — (żenując się), — że lubiłem czasem sobie tego... pobumblować trochę... dziś? nawet i to mi zbrzydło!... Powieszę się chyba! — (ogląda się po drzewach) — szkoda kołnierzyka, pobrudziłby się, a mydła niema... sznurki też drogie... Nie! nie powieszę się! Ale wiem co zrobię! Ani się nie otruję, jakby może kto przypuszczał, ani się nie zastrzelę, ani się nie uduszę, ani się nie utopię, nie! — ale... ale..., zaraz dziś jeszcze pójdę... i — (pauza) — zapiszę się na członka tutejszego Stowarzyszenia Młodzieży. Do widzenia, na przyszłem zebraniu! — (bierze kij, kapelusz, kłania się i odchodzi).

BEZ URZĘDU.

(Młody człowiek chodzi wzburzony po estradzie)

Tak! tak to bywa w naszem społeczeństwie! Najlepsze stowarzyszenia rozpadają się, najlepsze nistytucje giną, dlaczego? Otóż dlatego, że nie umie się ocenić tych, którzy są stowarzyszenia tego chlubą i podporą... — (ze złością). — Wybiorą naprzykład kogoś tam z brzegu na prezesa, bo — (z przekąsem) — ukończył kilka klas... jest uczony, mądry... Czemu mnie nie wybrali? Jabym im pokazał, jak się prowadzi zebranie... ha! jabym zaraz wyprosił z koła tych, którzy mi są niemili, jabym pokazał! — Co prawda przemówić o czemś z historji, czy z innych nauk nie umiałbym prawdopodobnie... i tak zresztą zagaić zebranie to też nie bardzo... — (staje wprost podnosząc dłoń) (próbuje) — "Szanowni członkowie! Urząd, który przyjąłem, należał mi się słusznie — i zrobiliście rzeczywiście rzecz mądrą, żeście mnie wybrali. Nie! nie tak... — (stając bokiem podnosi obydwie ręce). — "Szanownym członkom oznajmiam, że raczę zostać ich prezesem, za co przyjmuję serdeczne podziękowanie... nie — nie — jeszcze inaczej... po co to "Szanowni" na początku zupełnie niepotrzebne... — (staje jeszcze inaczej). — "Członkowie! Jestem prezesem, bo tak chciałem i bo między wami nikogo lepszego niema — bo wszyscy jesteście... — (uci na) (powoli z ironją). — Zresztą mniejsza o przemowę — mógłby zastąpić mnie wiceprezes... ale...

— (ze złością, wymachując rękoma) — nie rozumiem, jak oni mogli wybrać nie mnie na prezesa — (z rozpaczą) — ani jednego głosu za mną — ani jednego... — (po chwili z ożywieniem). — No, ale powiedzmy, że przepatrzyli się po prostu... zapomnieli... czasem zapomina się o rzeczach najważniejszych — (ze złością), — ale pozostawał jeszcze urząd prawie równoznaczny — urząd wicepreesa — i znów mnie pominięto... dlaczego? — (z przekąsem) — ha no, bo druh X. jest doświadczony — był długo sekretarzem, pracował w licznych stowarzyszeniach od dawna — tak, tak, a ja nie! — (z żalem), — a czy to moja wina? Czemu mnie nie wybrali prędzej? Co prawda, to raz podczas dyskusji o sprawach towarzystwa, powiedziałem, że wiceprezes to jest malowany pajac... bo też dokuczył mi do żywego o jakiegoś tam Mickiewicza, który mi się z Sienkiewiczem pomylił... Ah wielka rzecz? Nie wiedziałem, co to szkodzi? tak! — (ze złością), — malowany pajac! malowany pajac!... jeszcze raz powtarzam — (krzyczy) — ma-lo-wa-ny pajac! Bardzo się cieszę, że nie jestem wiceprezesem — okropnie głupi urząd — (chodzi po scenie) (po chwili). — Mój kolega szkolny został sekretarzem... Mój kolega? — (z ironją). — Był to zawsze mazgaj— ani papierosów porządnie palić nie umiał... czasem tam którego wykurzył, ale rzadko — w karty z nami nie grał — (macha ręką) — mniejsza o to! — był mazgaj! Siedział drugi w klasie — nauczyciele mówili, że ślicznie pisze... — (ze złością) — niech pisze! pisze! pisze!... Niech się

zapisze, wcale mu nie zazdroszczę — wcale!... Ciekaw jestem czego? Urzędu sekretarza? Ojej! wielka mi rzecz! — (do siebie) — Mogli mnie wybrać — napisałbym jak w książce... O wszystko, wszystko, co tylko komu mam prywatnie do zarzucenia — czemuż — (z żalem) — choćby ten, ten urząd... — (chodzi po sali) (po chwili)— Naturalnie jak się na kogo uwezmą, to nie popuszczą! nawet skarbnikiem nie zostałem, ani niczyim zastępcą... Nasz skarbnik świetnie liczy — jest obowiązkowy i uczciwy — ale czyż to potrzebne? — pawiedzcie Państwo?... Po co, na co? Czyż to nie ja mogłem zajmować jego miejsca? — (ocierając łzy) — Przynajmniej módz usiąść za stołem — za stołem naprzeciwko wszystkich— o Boże! — (po chwili smutnie) — Żadnego urzędu... — (jeszcze smutniej) — żadnego urzędu — (ociera oczy) (po chwili z gniewem). — I dlaczegoż mam należeć do takiego stowarzyszenia? dlaczego?... dlaczego? — (podnosząc dłonie) — O biedne społeczeństwo nasze! biedne społeczeństwo nasze! biedne społeczeństwo!... gdzie takie dzieją się niesprawiedliwości!... Nie! do tego, do takiego stowarzyszenia już stanowczo nie będę dalej należał! — (dumnie) — Ja, proszę państwa, wstąpię do takiego stowarzyszenia — gdzie każdy członek będzie... prezesem!

NIE USTĄPIĘ.

(Młody człowiek wchodzi nascenę, siada przy stoliku): — Czuję się dotkniętym, obrażonym. Ubliżono mi!... Tak, rzeczywiście, nie wiem, jak to określić, jest mi nieprzyjemnie... ale... ale będę musiał wystąpić ze stowarzyszenia... bo... bo jestem obrażony.

(Chwila milczenia. Wstaje i mówi z ożywieniem): — Tego już darować nie mogę!... nie mogę!... zemścić się muszę!... Było tak: Przychodzę na zebranie — (idzie do drzwi, obraca się, jakby wchodził) — ścisk przy drzwiach. Naturalnie nie będę łokciami drogi sobie torował. Cofam się — (cofa się, zakłada ręce na piersiach)— czekam! — (Ze złością): — Wchodzą, pchają się, cisną.. i żeby to który przywitał się ze mną... nie! Raz po raz ktoś spogląda, obraca się, uśmiecha... słychać nawet uwagi: "Stoi jak latarnia na ulicy!" "Nie! jak słup, przylepimy do niego plakaty: Cyrk Buscha!" "Cicho! On zrobił ślub pokory; wszystkich musi najprzód wpuścić!" Tego było mi już za wiele; powiedziałem im, że to dowcipy uliczników, odepchnąłem kilku na bok i wszedłem na salę — (pokazuje to). — A tu znowu!... Wszystkie przednie miejsca zajęte — (rozgląda się), — idę... Mówią, że niema miejsca. Też przyjemność!... Musiałem cofnąć się.— (Z oburzeniem): — Żeby to który wstał, ustąpił, o nie! Nawet mnie nie przeproszono — jeszcze któryś syknął, że trąciłem, któryś popchnął mnie

umyślnie... spytałem, co to ma znaczyć? chciałem tego pana pociągnąć do odpowiedzialności... a tu już dzwonek przewodniczącego i głos sekretarza — (naśladuje) — "spokój — prosimy o ciszę" — jakby umyślnie do mnie — "z tyłu miejsca wolne — siadać prosimy." — Jak jeden mąż wszyscy obrócili się na mnie — (pokazuje). — Wykrzywiłem im się — (pokazuje), — bo taki byłem zły... na to śmiech ogólny. Musiałem być czerwonym jak rak. A tu znów sekretarz tym razem wprost do mnie: "Druhu, prosimy nie przeszkadzać." Ostatecznie klapnąłem gdzieś — (siada), — ale poprzysiągłem zemstę!... — (Pauza). — Nie wiem nic z tego, co mówiono. Od wczoraj chodzę jak błędny — koniecznie muszę wystąpić ze stowarzyszenia — albo... — (Namyśla się, potem nagle uderzając się w czoło): — Wiem już co zrobię. Na przyszłe zebranie przyjdę na czas, zajmę najlepsze miejsce — (rozsiada się wygodnie) — i — (uderzając w stół) — nikomu nie ustąpię!...

WYJĄTKOWY MŁODZIENIEC.

(Młody człowiek wpada narwowo na scenę, kłania się, poprawia kołnierzyk, mankietki, chrząka, ogląda się za siebie, chrząka znów, potem mówi nerwowo):

Sza-nowna publiczności — (do siebie) — i co dalej? co dalej? — (chrząka). — Sza-nowna publiczności — (obciąga żakiet) — i to wielce szanowna — (do siebie) — jak było? — Aha! coś od nieba, już wiem — (szybko, kłaniając się). — Wielce szanowna publiczności! gdy niebo wysokie, gdy gwiazdy z nieba na ziemię, to jest chciałem powiedzieć, gdy z ziemi gwiazdy ku nieby świecą, świecą, gdy więc... — (chrząka i do siebie) — nie — stanowczo nie mam pojęcia — (odwraca się i w głąb sceny woła): — Julek na miłość Boską dawaj! Julek, — (do publiczności) — przepraszam, ja tego, zaraz, ten, ja więc szanowna publiczności chciałem wyjaśnić, że kiedy niebo, niebo — (milczy chwilę bezradnie). — Boże kochany! przepraszam, przepraszam bardzo, ja, ja wyjdę — jest mi duszno, zaraz wrócę! — (wybiega — za sceną) — Julku! Julku! zlituj się! gdzie jesteś? — Niema go! ja nie pamiętam. Będzie klapa, jest klapa! Wszystko przez niego! — (wraca na estradę — z rozpaczą). —

Ludzie kochani, miejcie litość nademną. Jestem w okropnem położeniu. Otóż jego niema... Surdut... mój surdut... był w kieszeni, to jest surdut

nie był w kieszeni, tylko Julek, to znaczy, chciałem powiedzieć... Ah! — jestem cały rozstrojony, zdenerwowany, zgrzany do ostateczności! Nie! drugi raz nie będę należał do artystów! — Ale dokąd on oszedł? — (biega po estradzie).

Jeszcze deszcz padać zacznie i surdut mi zmoknie! — (po chwili spokojniej). — Ale przepraszam. — Widzę i Państwo niecierpliwią się. Otóż wytłómaczę rzecz od początku. Miałem deklamować, bo któż mógłby zrobić to lepiej niż ja? — (siada w fotelu). — Bo — przedewszystkiem mam odpowiedni wygląd — (wstaje i obraca się na wszystkie strony z pyszną miną,) — nie prawda? — (siada znów). —

Następnie głos? ha! jaki głos! żebyście Państwo widzieli. Kiedy zaśpiewam po mszy świętej "Anioł Pański," albo w czasie wielkanocnym: "Hej, w dzień Narodzenia" — wypraszam sobie uwagi i śmiech!— otóż gdy zaśpiewam, to wszystkie chorągwie w kościele ruszają się i łopocą, bo stoją naprzeciwko właśnie, łopocą... — (po chwili). — Tak! no i pamięć mam doskonałą. Że, dziś właśnie, nie mogłem przypomnieć sobie kilku słów z początku tej nieszczęsnej deklamacji, to ze zdenerwowania, to ten surdut! Bo zresztą, jestem człowiekiem wyjątkowym. O! wiem o tem! czuję to... Bezemnie żadna zabawa, żadne przedstawienie udać się nie może. Nie! — Ja ożywiam wszystko. I tak dziś... Któż byłby wystąpił godniej? — (wstaje i z podniesioną prawicą). — Sza-szanowna publiczności! Kiedy niebo na gwiazdach powiesi, powiesi ziemię... a ziemia

na niebie powiesi, powiesi gwiazdy... a serce tak! — a serce tak? — (do siebie) — coś było, o czemś, o czemś? — (ze złością rzuca się na krzesło) — ah! zapomniałem! — (po chwili). —

Bo słyszane to rzeczy? Aby kolega koledze? Przyjaciel przyjacielowi? Nie! Jabym nigdy tego nie zrobił! — No też ze mną każdy równać się nie może! — (zakłada nogę na nogę).— Jestem przecież duszą całego miasta! Każdy pyta mnie o radę, o słówko! Niedawno pan X-icz powiada do swojej żony, słyszołem na własne uszy: "Ten chłopak, to czysty baran!" to jest, chciałem powiedzieć, baron! — Umiał widocznie ocenić mnie odpowiednio. — I dziś też, deklamacja moja jest punktem najważniejszym przedstawienia, czyż nie tak? Otóż ja bezwątpienia powiedziałbym całość, tylko że, że przypadkiem nie dopisuje mi pamięć... Naturalnie! Ludziom wybitnym, genjalnym trudności kładą się właśnie wpoprzek drogi, trudności, przeszkody rosną, a ja — (zrywa się) — depcę je! zmagam się z niemi! — (wykonuje ruchy odpowiednie) — powalam na ziemię! — Zwyciężam! — (stoi chwilę jak zwycięzca-generał). — I tak stało się też z surdutem. Zwyciężyłem go! Tam, gdzie niktby nie wybrnął, ja wybrnąłem! Oto leży — (wskazuje ręką na ziemię, potem nagle). — Surdut? Ah! Mój surdut? nie! To ten — Julek — wyobraźcie sobie drodzy państwo — (z rozpaczą) — było tak: Julek ma surdut — jaki to tam surdut zresztą, nie równa się mojemu, to znaczy, to jest właściwie ten sam surdut, tylko na mnie bezwarunkowo układa on

się inaczej, pięknie, nieprawda? — (obraca się na wszystkie strony obciągając ubiór) — co za krój, jaka linja... Ha! tak wyglądać mogę tylko — ja! — Ale bo zdaje mi się, nie skończyłem — (siada). — Ah! myśli w mej głowie tyle co wróbli! — na dachu. To ciężko jednak być tak wyjątkowym człowiekiem — bo tyle zaburzeń w środku! — w głowie, raczej w duszy, która czuje... czuje... mastykę — czy mistykę już zapomniałem, jak to było — (nagle zrywa się, nasłuchuje) — idzie! Idzie! Słowo daję, idzie! A dopiero się zdziwi, że bez niego deklamowałem! Bo musicie wiedzieć, moi państwo, że kiedy Julek pożyczył mi surduta, ja musiałem mu dać mój surdut tymczasem, potem, jak on wystąpi, zamienimy surdut, zobaczycie różnicę. Oho! idzie — (z wielką radością) — idzie! A to się chłopak zdziwi! Bo musicie wiedzieć, moi państwo, że ja głupiec — to jest nie to, nie wolno mi sobie ubliżać, tylko, że wiele mając myśli, będąc człowiekiem wyjątkowym, zapomniałem kartkę z wierszem w kieszeni surduta... Właśnie z tem, co mam deklamować — (nasłuchuje), — ale idzie Julek, idzie — (woła w głąb, za kulisy). — Dawaj kartkę, dawaj prędko! Na lewo... na lewo... w tej większej kieszeni, z tą szarą łatą. O! dobrze! Człowieku! ratujesz mnie! — (wraca z kartką, staje kłania się) — Sza-no-wna publiczności! Oto gdy niebo... gdy, gdy, gdy niebo zawoła — (patrzy w kartkę, nagle z rozpaczą)—rachunek od krawca!!

ZAWODOWY WIERSZOKLETA

(Młody człowiek w pelerynie, w czarnym kapeluszu o szerokim rondzie chodzi tam i z powrotem po scenie — gestykulując żywo i wyrzucając z ust raz po raz urywane słowa).—

. . . . . .

Samotność! Cóż po ludziach? Czym śpiewak dla ludzi?

. . . . . .

Hej w górę! — w górę! — w górę!... ponad Andy i Alpy...

. . . . . .

— (nagle do publiczności — ponuro). — Czy niema tu jakiego redaktora? — (z ożywieniem). Myślę, że nie! A więc mogę wypowiedzieć się śmiało! Otóż wszyscy redaktorzy — bez wyjątku — są to ludzie zmaterjalizowani, ludzie o niskim poziomie kulturalnym — ludzie bez polotu, bez duszy. — (deklamuje). —

Bez serc! Bez duszy! To szkieletów ludy!
Poezjo! podaj mi skrzydła!

Niech wzlecę — wzlecę — gdzieś! nie wiem gdzie — gdzieś wysoko, niech zapomnę przez chwilę, że są jakieś redakcje, że są jacyś redaktorzy — ten naród Filistrów! — oh! nie umiejący ocenić prawdziwych artystów — ale? był rym, śliczny rym! Muszę sobie zapisać — przyda się... — (wyciąga zeszyt, ołówek z kieszeni, zapisuje) — Artystów! — Filistrów. Filistrów — artystów — cudnie! Tak nienawidzę ich — tych redakto-

rów — dlaczego? Historja jak tyle innych — jakby życia Dantego czy Wirgiljusza — moja historja! — Otóż wyobraźcie sobie — (do publiczności) — przyjaciele, ja, jak wiadomo, poeta — i to wszechstronny, pozwolę sobie zaznaczyć mimochodem, że mam budowę czaszki — (pokazuje) — zupełnie taką, jak Wyspiański. — Otóż ja, nie chcąc trzymać dłużej w tece moich arcydzieł, nie chcąc napawać się niemi tylko egoistycznie— ale przeciwnie zrobić coś dla społeczeństwa, dla bliźnich — wybrałem tomik wierszy i niosę do redakcji. — Myślałem — poznają zaraz po oczach, po czole kto jestem, ale gdzież tam? — Redaktor, człowiek gruboskórny, zamiast wybiec — naprzeciw, zblednąć ze wzruszenia i tak dalej — on? pyta mnie się najspokojniej w świecie: — (przez nos) — "A czego?" — Wytłómaczyłem z przymusem, człowiek ów był mi wstrętnym. — No — to dalej! — (przez nos) — "Przeczytaj pan coś! — zobaczymy." — Myślę: teraz obudzi się w nim dusza... zrozumie... i czytam: — (czyta z zeszytu głosem płaczliwym). —

Zielony gaj...
Gdy przejdzie... maj!
Ten słodki... raj!
Przez cały... kraj!
Zakwitnie... gaj!
Poeto!... wstaj!
I baj!... I baj!

(Milczy z oczyma wzniesionemi w górę). — "Dosyć! — dosyć!" — woła redaktor, "co in-

nego!" — Prawdopodobnie ze wzruszenia nie chciał słuchać dalej... bo i mnie zrobiło się rzewnie... oh!... Więc przerzuciłem kilka kartek i znowu: — (czyta z zeszytu głosem rozpaczliwym)—

Potragane nici...
Nici się... potargały...
Które jakieś ręce wiązały
I zapłakał chłopiec mały

o! he — o! he —

(Chwilka milczenia potem mówi). —
Redaktor milczał — to mnie zachęciło, więc zacząłem improwizować t. j. mówić wierszem:

Pójdźcie! pójdźcie! — dusza wielka
Gromadzi w sobie myśli, jak wodę butelka;
Myśli kapią jak deszcze — głowa ma jak beczka,
A w środku czaszki świeci rozum, niby świeczka!

— (chwila milczenia) — Redaktor znowu nic! — zastanowiło mię — to — patrzę — a on najspokojniej w świecie przepisuje coś do książki... Przestaję mówić — milczę, czekam... a on? nic! "Panie redaktorze," zaczynam — (przez nos). — "A czego? To pa-an? myślałem, że pan już poszedł." — Oniemiałem! — Co mówić na takie grubijaństwo? — "No, więc prędzej!" woła redaktor, tym razem już z widocznem wzburzeniem w głosie... "Moje wiersze...", powiadam. — "Pańskie wiersze? A co ja panu ukradłem. Czego mnie tu pan nachodzi?" — "Ależ panie, do druku" wykrztusiłem, blednąc z irytacji. — (Przez nos).

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

dam panu radę: Oto schowaj je pan do zimy, te wiersze, a potem je pan przynieś do redakcji, podpalimy w piecu, bo tu piekielnie zimno zawsze — co? Podpalimy sobie, he, he!" — Chwyciłem za kapelusz, by odejść... ten człowiek nie był wart, — "Ach ta-ak — he... he... he." zaczyna się śmiać, aby się nań obrażać — lecz jego coś tknęło — zatrzymał mnie: "A weź się, kolego, lepiej do rzetelnej pracy, bo szkoda młodych sił — szkoda... — (przez nos) — szko-oda!" — Syknąłem przez zęby, że od takich mamutów rad nie potrzebuję... i poszedłem.. o Boże!

Słyszeliście moje poezje — i podobały się Wam — o Przyjaciele moi — wiedziałem to. — Ale cóż? Ci redaktorzy łamią mnie, talent drogocenny zabijają we mnie. — I czyż nie mam słuszności, twierdząc, że wszystko to filistry? — zjadacze chleba — manekiny? — czyż nie mam racji? — Zgłaszam się do innych pism — nie było odpowiedzi...

Ha! —

I trzeba było zrezygnować! — Idę do pracy, — (jak radził ów redaktor) — idę nieszczęsny. — (Zdejmuje wolno kapelusz, pelerynę — zwija, układa na podłodze). — Ha! to zeszyt... Oto reszta mojej poetyckiej jaźni — oto popioły moje!... Spoczywajcie. — Idę w tłum. — A gdy dorobię się kiedyś pieniędzy, wydam moje poezje i prześlę je w upominku wszystkim redaktorom!...

STRACH PROSI O KOLACJĘ.

(Należy opowiadać jako własnąprzygodę — dodając, lub ujmując i zmieniając niejedno;—najlepiej wieczorem — o zmierzchu).—

Opowiem też Państwu jedną rzecz... uprzedzam z góry, że zabobonnym nie jestem, nie wierzę, ani w pokazywanie się duchów... ani w kuszenie na rozstajnych drogach... ani w tańczące około świecy djabły... jednakże... jednakże są momenty w życiu człowieczem, że... no, nie chcę nikogo straszyć... można mi wiarę dać lub nie... zresztą może lepiej, że nie opowiem wcale — (wszyscy naturalnie proszą, żeby mówił... owszem budzi się zajęcie wśród słuchaczy).—

Otóż, jeśli Państwo życzą sobie koniecznie, abym opowiadał... — (chwilkę milczy, potem wzdrygając się) — nie! — tego nigdy nie zapomnę! Wiecie! — (szybko i żywo) — są czasem takie chwile, że czuje się zupełnie wyraźnie jak włosy na głowie — (cicho, powoli) — wolno, wolno podnoszą się jeden za drugim... a w plecy robi się zimno... kolana zaczynają dygotać... palce zaciskają się kurczowo... a na skroń występuje pot... kroplisty — (po chwili) — nie! proszę Państwa — (gorączkowo) — to jest okropne, że tego się nigdy nie zapomina. — (Po długiej chwili). — Opowiem! — było to dość dawno... a jednak pamiętam jak dziś, jak dziś... było nas właśnie tyle osób w pokoju — (liczy i wymienia liczbę osób, które się właśnie w pokoju znajdują) — tak! pokój, nie wiele większy od tego... drzwi — tak! — (pokazuje na jakiś szczególniej ciemny, niemiły

kąt pokoju) — i coś takiego denerwującego w powietrzu — jakiś szczególniej ponury wieczór — (do siebie) — jak dziś. — (głośno). — Siedzimy chwilkę cicho... nikt nie mówi... a tamte drzwi — (pokazuje znów w kąt pokoju) — były zamknięte na klucz z drugiej strony — wtem! coś skrzypnęło... Wacek — (imię można zmienić) — powiada, że to duchy, chciałem się zaśmiać — nie mogłem... i nikt nie mógł się śmiać... chciałem coś mówić — (coraz gorączkowiej i z przestrachem) — nie mogłem ust otworzyć — jakby mi je kto zaciął — i — (pauza) — nikt nic nie mówił... wszyscy milczeli — (głośniej) — chciałem lampę przynieść... już, już podnoszę się... a wtem! po raz drugi coś zgrzytnęło — zupełnie, jakby kto w lochach podziemnych klucze przekręcał... nie mogłem się ruszyć — wszyscy siedzieli jak trupy! patrząc tam! — (pokazuje kąt), — a w pokoju było ciemniej i ciemniej — (ciszej, wolno) — a nam było coraz straszniej i straszniej... tak jak teraz... a tam — (wyciąga palec do kąta) — tam — (cicho z przestrachem, chwytając się drugą ręką za głowę) — tam — nagle — ukazuje się postać.. postać... wysoka — biała — wyciąga ręce — (ręce wyciąga) — i idzie — (wstając sztywno idzie) — idzie — (z szalonym przestrachem idzie) — ku nam — Strach!... kamienieję... przymykam oczy — znów patrzę — patrzę... a... to... — (chwila milczenia i nagle wesołym głosem) — moja ciotka, która nas prosi na kolację — (należy w tej chwili wnieść lub zapalić światła, aby zmienić nastrój na wesoły).

—o—

Biblioteka Główna UMK
300043342608
BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA

940722

Biblioteka Główna UMK
300043342608

940722

Biblioteka Główna UMK